LECH
Tygodnik Illustrowany

Nr. 35. Poznań, dnia 31 Sierpnia 1878. Rok I.

ELISZKA KRASNOHORSKA.

W szeregu czeskich autorów i autorek najwięcéj zapewne sympatyczną dla nas Polaków osobistością jest Eliszka Krasnohorska, odznaczająca się niezwykłym talentem poetycznym. Poetka ta tłumaczy na czeskie nasz najpiękniejszy polski poemat; „Pana Tadeusza", a jak się zdaje przekład jéj będzie wybornym i prawdziwą ozdobą literatury czeskiéj. Dla téj przyczyny sądzimy, że Krasnohorska zdobędzie sobie i w Polsce cześć i uznanie. Słuszna tedy, aby zaznajomić polską publiczność z życiorysem téj utalentowanéj poetki.

Eliszka (Elżbieta) Krasnohorska urodziła się 18 Listopada 1847 r. w Pradze. Ojciec jéj, acz przemysłowiec, był miłośnikiem sztuk pięknych, atoli nie mógł wywrzeć dobroczynnego wpływu na córkę, gdyż 1850 r. życie zakończył. Natomiast matka, obdarzona duchem poetycznym i wysoce rozwiniętym zmysłem piękna, zajęła się troskliwie Eliszką i dała jéj jak najstaranniejsze wychowanie. Mianowicie nauczyła ją dobrze mówić po czesku, co w owych czasach, kiedy chwast niemczyzny głuszył odradzającą się latorośl narodowości czeskiéj, było sprawą wielkiego znaczenia. Miłując wielce muzykę, natchnęła i córkę zamiłowaniem do téj sztuki.

Młoda Eliszka odebrała nader skromne wychowanie szkólne, gdyż uczęszczała tylko do prywatnéj szkoły, gdzie wykład był po niemiecku. Nauczyła się tu wnet dobrze mówić i pisać po niemiecku i francuzku. Jedenaście lat licząc, już ukończyła szkołę. Nie było ówczas wyższéj szkoły żeńskiéj w Pradze, ztąd Krasnohorska sama o dalsze wykształcenie starać się musiała.


Eliszka Krasnohorska.

Człowiek uczy się nietylko w szkole, ale więcéj przez obcowanie z ludźmi. Doświadczyła tego i Eliszka. Dom jéj matki odwiedzali młodzi artyści, przyjaciele jéj braci. To obcowanie kształciło i uszlachetniało jéj umysł i serce. Nabyła skutkiem tego znaczny poczet wiadomości z dziedziny piękna, któremi dziś w swych pismach się odznacza.

Eliszka umiłowała wielce muzykę, czyli gędźbę, jakby po staropolsku mówić się godziło (po czesku hudba). To zamiłowanie obudziło w niéj iskrę poezyi. Słysząc nieraz narzekania młodych muzyków, że nie dostaje stósownych czeskich textów do kompozycyi, zaczęła tworzyć pieśni, które się podobały. Odważyła się nawet na libreta do

oper i tak utworzyła text do opery Bendla „Lejla“ i „Brzetysław.“

Pierwsze próby poetyczne Eliszki były wyłącznie dla muzyki przeznaczone, dopiéro od 1863 r. zaczęła pisać samodzielnie. Za pośrednictwem poety Halka zapoznała się z Karoliną Světla, znakomitą i wysoko o swój naród zasłużoną autorką czeską.*) Dwie te zacne Czeszki zawarły z sobą ścisłą przyjaźń, a Krasnohorska skorzystała bardzo wiele z światłych rad swéj przyjaciółki. Pełna wdzięczności poświęciła jéj Krasnohorska pierwszy zbiór swych poezyi pod nazwą: „Z máje žití.“ Zbiór ten wnet rozsławił imię poetki po całych Czechach. I rzeczywiście są to tak piękne, tkliwe, łagodne pienia, że mogą i powinny znaleźć uznanie i po za granicami czeskiemi. To też choć, jak wiadomo, Polacy dla spraw czeskich dziwną chowają obojętność, jednak w niektórych pismach warszawskich poezye Krasnohorskiéj doczekały się przekładu na polskie. Jesteśmy przekonani, że niedługo posiadać będziemy większą część jéj pism w polskiém tłumaczeniu.

*) Życiorys i rycinę zasłużonéj Karoliny Světly poda „Lech“ swego czasu. Tu dodajemy, że napisała ona wiele prześlicznych wiastek z życia ludu czeskiego, z tych „*Krzyż nad potokiem*“ przełożyła Grabowska i umieściła w Kronice Rodzinnéj, a ztąd przedrukował Orędownik. Světla założyła téż „*Vyrobny Spolek Ženský*“ w Pradze.

Oprócz wymienionego zbiorku wydała Krasnohorska następujące utwory: „*Z Szumawy.*“ Jest to zbiór poezyi, opisujący piękności gór czeskich, na pograniczu Bawaryi. „Pěvec volnosti,“ „Obraz nowszéj poezyi czeskiéj,“ piękny życiorys czeskiego powieściopisarza Tyla, umieszczony w piśmie „Osvěta,“ a prócz tego nader wielką liczbę artykułów o wychowaniu, muzyce i literaturze.

Na szczególną uwagę zasługują prace Krasnohorskiéj dla młodego wieku, z których „Pohádka o větru“ najpiękniejszą.

O pracach tych a szczególniéj o poezyach podamy krótką wiadomość w przyszłym numerze Lecha, tu dodajemy, że Krasnohorska już rok trzeci wydaje: „Ženske Listy“ wybornie redagowane.

Portret Krasnohorskiéj umieszczamy z pisma czeskiego „Květy“ z r. 1871. Dziś zmieniła się niepomału twarz poetki, jak nas poucza jéj portret, który w b. r. podał „Světozor,“ tygodnik illustrowany, wychodzący w Pradze.

Podajemy tu także tłumaczenie początku „Pana Tadeusza“, który redakcyi „Lecha“ autorka nadesłała. Późniéj podamy inne wyjątki. Dodajemy dla lepszego zrozumienia text polski.

(Dokończenie nastąpi.)

PAN TADEUSZ

na czeskie tłumaczony

przez

Eliszkę Krasnohorską.

Początek Księgi I.

Litvo! má domovino! tys jak zdraví drahá;
vždyť pozná, jak tě cenit, zvi, co v tobě blaha,
jen kdo tě ztratil! Dnes vší něhou sladké chvály
tvé krásy vzpomínám, — neb toužím k tobě z dáli!

O Panno svatá, ježto Čenstochovy bráníš,
jež ku věrnému lidu v Novohrad se skláníš
a záříš v Ostre Brâně v lesku milostivém!
Jak mně co dítku zdraví navràtilás divém,
když Tobě obětován plačící svou matkou
jsem již jen mrtvým okem zhlédl tvář Tvou sladkou
a ku svatyni Twojí náhle kráčet moha
jsem rychlými spěl kroky díkem slavit Boha:
tak dej nám procitnouti na otčiny lůně!
A zatím nes mou duši, která v touze stůně,
v ty lesy zamodralé, na pohoří temná,
v ty louky, na ty břehy blankytného Němna,
kde malována stříbrem vlají pole žitná,
a pšenicí zas ku žni zrají zlatě třpytná,
kde niva jetelinou jako panna rdí se,
tu květem jantarovým, onde sněžným skví se,
kol zeleným se pásmem vinou meze po ní,
a semotam se na nich staré hruše sloní.

Uprostřěd takých luhů, jimiž potok plynul,
tam s březového chlumu z daleka již kynul
před léty panský dvorec; ze dřeva měl stěny
a z dola podezdívku; čistě obílený
tím běleji se svítil ze stinného řadu,
jímž topoly jej kryly protí větrů chladu,
Dům nevelký a stejně čistý z každé strany.
Tu před stodolou širou v stohy narovnaný
žně nadbytek lze vidět; neveśla se domů, —
tak úroda tu hojna; četné kupy k tomu,
jichž plno v šíř i délku v lučin dálném kruhu
jak hvězd by nasypáno, a to množství pluhů

Litwo! Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie! —

Panno święta co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostréj świecisz Bramie! Ty co gród zamkowy
Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mię dziecko do zdrowia powróciłaś cudem —
Gdy od płaczącej matki, pod Twoją opiekę
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę;
I zaraz mogłem pieszo, do Twych świątyń progu
Iść za wrócone życie podziękować Bogu — —
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono!
Tymczasem, przenoś moję duszę utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych prsenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka, jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną — na niéj zrzadka ciche grusze siedzą.

Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju,
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się zdaleka pobielane ściany,
Tem bielsze, że odbite od ciemnej zieleni
Topoli, co go bronią od wiatrów jesieni.
Dom mieszkalny niewielki, lecz zewsząd chędogi.
I stodołę miał wielką i przy niej trzy stogi
Użątku, co pod strzechą zmieścić się nie może.
Widać, że okolica obfita we zboże,
I widać z liczby kopic, co wzdłuż i wszerz smugów
Świecą gęsto jak gwiazdy, widać z liczby pługów

kol orajících černé úhorové lány,
tak kypré — zjevno že jsou pansky pěstovány —
a zdobně oddělené na záhonů mnoho:
vše pořádek a hojnost hlásá domu toho,
kde brána otevřená zve i vítá spolu,
všech kolemjdoucích v dům a k hostinnému stolu.

Orzących wcześnie łany ogromne ugoru,
Czarno-ziemne, zapewne należne do dworu,
Uprawne dobrze nakształt ogrodowych grządek:
Że w tym domu dostatek mieszka i porządek.
Brama nawciąż otwarta przechodniom ogłasza,
Że gościnna, i wszystkich w gościnę zaprasza.

Pamiętnik Księżnéj G.

z roku 1830 i 31.

Z archiwum Muzeum narodowego w Rapperswyl
uporządkował i wydaje H. W.

(Ciąg dalszy).

Czterem kompaniom strzelców pieszych i dwom kompaniom pułku szóstego, spieszącym w pomoc szkole Podchorążych, mającym przeszkodzić jeździe rosyjskiéj, żeby nie wtargnęła do miasta, nie udało się zadość uczynić temu rozkazowi, albowiem w drodze zatrzymane przez Jen. Stanisława Potockiego, dostały się w niewolę rosyjską: zaś cztery działa, które miały opanować stanowisko między „Wiejską kawą“ a koszarami Radziwiłłowskiemi, tudzież aleją prowadzącą do Belwederu, i strzelać dla nadania jedynie moralnéj siły wojsku, działającemu w tym punkcie, zajęte zostały przez pułk moskiewski.

W chwili kiedy oddział przeznaczony do Belwederu wyruszył z lasku Łazienkowskiego, podporucznik Wysocki Piotr, pospieszył do koszar Podchorążych, zamieszkałych w Łazienkach, w towarzystwie Szlegla porucznika, który z obozu przywiózł im ostre naboje karabinowe.

W salonie szkoły podchorążych odbywała się wtedy lekcya taktyki. Dwaj wspomnieni oficerowie rozbroili rosyjskich szyldwachów. Wbiegłszy do sali Wysocki zawołał na dzielną młodzież: „*Polacy! Wybiła godzina zemsty! Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba! Idźmy, a piersi nasze niech będą Termopilami dla wrogów!*“ Na tę mowę i zdala grzmiący odgłos: *do broni! do broni!* młodzież porwała karabiny, nabiła je i pędem błyskawicy poskoczyła za dowódzcą. Było ich *stu sześćdziesięciu kilku!* Idą uliczką, prowadzącą do koszar trzech pułków jazdy rosyjskiéj. Pewny będąc Wysocki, że wyżéj wspomniane kompanie spieszą im w pomoc kazał dać kilka razy ognia dla zatrwożenia Rosyan, jako i na znak dla tychże kompanij, że się bój rozpoczął. Po tem haśle wtargnęli do środka koszar ułańskich. Wyzwany ogniem karabinowym hufiec nieprzyjacielski z około trzech set ludzi złożony, uszykowawszy się w kolumnę, na plac występuje. Polacy dają ognia, Rosyanie wychodzą z szyku, mięszają się i w pewnem oddaleniu znów uformowani, stawią naszym czoło! Ci powtórnie dawszy ognia, silnym w skoku napadem, z okrzykiem wojennym hurra! rozbijają kolumnę Rosyan, który zasławszy plac trupem, na wszystkie rozsypali się strony. W téj chwili dano znać Wysockiemu, że pułki kirasyerski i huzarski wychodzą z koszar dla otoczenia ich i przecięcia drogi do miasta. Kolumny polskiego wojska nie nadciągnęły im w pomoc, z tego więc powodu gdy i ładunków brakować zaczęło — poszli do odwrotu. Pułk ułanów na który najprzód uderzyli, zupełnie rozproszony, dozwolił im cofać się przez most Sobieskiego, gdzie połączył się z nimi powracający z Belwederu oddział cywilnych osób.

Wysocki mniemając, że kompanie wyborcze czekają rozkazu łączenia się z nimi, wysłał Kamilla Mochnackiego z poleceniem wezwania ich, do jak najrychlejszego przybycia. Lecz Mochnacki wrócił donosząc, iż pomocy na żadnym punkcie nie znalazł, i że kirasyery formują się w szyk bojowy na rozdrożu, zamykając im ze wszech stron pochód do miasta. Postąpili więc kilka kroków naprzód, a postrzegłszy rzeczywiście linją kirasyerów, bez namysłu na nich natarli. Śmiało puściła się z bojowym okrzykiem raźna młodź i w tym punkcie zmusiła Rosyan do odwrotu ku Belwederowi. Zebrali się postępując dalszą drogą z Łazienek ku *Wiejskiéj kawie.* Usłyszawszy Wysocki w przesmyku między wiejską kawą a koszarami Radziwiłłowskiemi głośne tętnienie koni jazdy kirasyerów, którzy się w pogoń za nimi puścili, i postrzegłszy w tym samym czasie oddział huzarów ku nim od aleji zmierzający, nie widział innego ratunku, jak szybkim krokiem zwrócić się na lewo, ku koszarom Ujazdowskim. Jakoż w rzeczy samej wpadli w bramę tych koszar, zkąd pojedyńczemi strzałami razili czającego się z boków nieprzyjaciela.

Po chwili Podchorążowie nabierają męztwa, wypadają z bramy koszar Ujazdowskich i z niewypowiedzianą odwagą nacierają na Rosyan, który się natychmiast rozsypali. Nie mała liczba w tém miejscu poległa. Odtąd wolną mieli do miasta drogę.

Przy kościołku Aleksandra spotkali Jen. Stanisł. Potockiego; przytrzymali go podchorążowie schylając się do stóp jego i błagając, żeby się przyczynił do ojczystéj sprawy. Wysocki łącząc swój głos z prozbą młodzieży rzekł do niego!

„Zaklinam cię na miłość Ojczyzny, na więzy Igelstroma, w których tak długo jęczałeś, żebyś stanął na naszym czele! Nie sądź, że sama szkoła powstała. Całe wojsko zmierza do swoich stanowisk i jest za nami.“

Lecz gdy te wszystkie przełożenia nie odniosły zamierzonego skutku, kazał go wolno wypuścić. Zginął *Potocki* następnie z innéj ręki!

W mieście Ksawery Bronikowski porozsyłał rozmaite osoby w różne strony, celem przewodniczenia ludowi.

W Starem Mieście, stosownie do rozporządzeń Bronikowskiego rozpoczęli działania: *Anastazy Dunin, Włodz: Kormański, Lud. Żukowski, Maurycy Mochnacki*, Michał Dębiński, Józef Kozłowski (patron) i t. d.

Szkoła Podchorążych największą winna wdzięczność w téj pamiętnéj nocy, porucznikowi *Szleglowi*, który pułk swój opuścił, aby na czele Szkoły wśród największych niebezpieczeństw walczył, — tudzież mężnemu Józefowi Dobrowolskiemu byłemu oficerowi, który chlubne poniósł blizny w téj pamiętnéj rozprawie. *)

*) Opis ten dosłownie wyjęty z artykułu podanego 9 Grudnia 1830 do „*Kuryera Polskiego*“ przez Piotra Wysockiego podporucznika dowodzącego Szkołą Podchorążych, w rozpoczęciu powstania. (P. au)

Od kościołka Aleksandryjskiego cały Nowy Świat i część krakowskiego Przedmieścia przebiegli powstańcy w największéj niespokojności, wszędzie znajdując porządek i cichość.

Odżyli nareszcie zbliżywszy się do Dziedzińca Saskiego, gdzie pułk alarm bębniąc, kompania 1sza grenadierska pułku 5 piechoty, na umówiony znak między 7 a 8 wieczorem jak błyskawica ukazawszy się przy Arsenale, wzięła w niewolę jenerałów rosyjskich Essakowa, Engelmana, pułkownika Fabicyna, wszystkich zachowując przy życiu!

W tym samym momencie atakowana przez pułk Wołyński, rzęsistym ogniem wprawiła go w nieład i wraz przy okrzyku hurra, rzuciwszy się na bagnety — zmusiła do odwrotu. Kompania 2go tegoż pułku, wstrzymana uwolnieniem więźniów na Lesznie u karmelitów, gdzie świeżo zamykano pochwytanych akademików i podchorążych — przybyła później. Połączywszy się obie kompanie, gdy większe nadciągnęły siły i gdy już żadne niebezpieczeństwo nie zagrażało arsenałowi, udały się, jakby w natchnieniu, jedna dla zasłonienia kasy będącéj w pałacu Krasińskich, druga dla przeszkodzenia wyłamaniu się więźniów z prochowni i Franciszkanów.

Nazajutrz o godzinie 9téj z rana obie kompanie połączone na nowo, wsparte dwoma działami, ruszyły do atakowania pułku Litewskiego i kilku kompanij gwardyi Polskiéj uformowanych na placu broni; już zbliżyły się były pod Muranów, już się sposobiły do ataku, gdy komenderujący działami zawoławszy — *„mam tylko dwa naboje!* wstrzymał bohaterski i może w dziejach świata nieznany zapał.

Jenerał Rautenstrauch uwiadomiony o zamięszaniu, pobiegł do stajni po konia, tam znalazł Haukego wsiadającego na swego; prosił go, żeby nań chwilę zaczekał, nim parę sprzążek ze siodła skończy przypinać; zapewne pilny Hauke chciał zrobić sobie zaletę przed W. ks. że minutę rychléj u niego stanął, nie słuchał więc Rautenstraucha. Ten wyjechał zaraz, kiedy Haukego i Meciszewskiego przed Namiestnikowskim pałacem zabijali. Przebił się przez zgiełk i pobiegł do Belwederu, gdzie w ten moment powinność go wołała. Książę mu kazał zobaczyć, co się w arsenale dzieje i donieść mu. Rautenstrauch w miasto łatwo wjechał, lecz w pobliskości arsenału takie znalazł tłoki, że wiele krążyć i objeżdżać musiał, nim się tam dostał. Arsenał już był przez lud opanowany, Blumer w bliskości leżał zabity. Gdziekolwiek znajdował oddziały wojskowych, wszędzie zapytywał, czy mają jakie rozkazy, wszędzie mu odpowiedziano, że żadnych. Taki raport, gdy odwiózł do Belwederu, udał się na Radę Administracyjną, w któréj opiniował.

Wydziwić się dość nie można, że W. ks. cały czas swego w Polsce panowania, tą tylko obawą dręczony, żeby nie zaszła rewolucya, którą może właśnie taż obawa rozwinęła, przez rozmnożenie niezliczonéj zgraji szpiegów i surowy ucisk podejrzanych; przez zgwałcenia wolności osobistéj, téj najpierwszej zasady swobód konstytucyjnych, nadanych dobrowolnie przez Aleksandra, dobrowolnie przez drugiego brata zaprzysiężonych; że mówię W. ks. ścigany tą marą, nie kazał zabezpieczyć arsenału od napadu, lub ten napad uczynić bezskutecznym, przez wykręcenie wszystkich bagnetów i kurków z broni palnéj i gdzieindziéj one zachować.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Historya o psie Kałmuku.

W dzisiejszym numerze „Lecha" podajemy dwa charakterystyczne obrazki z *„Zawsze Oni."* Ten stary Polonus na 276 str., palący fajkę, jast to pan Łopot, do którego Rzerzyński z Józefem, po rozprawie z Moskalami, w gościnę zajechali, a na 277 str. jest rycina sławnego psa Kałmuka, o którym tak pisze Suffczyński w II części *„Zawsze Oni."*



Pan Łopot.
Rycina wyjęta z dzieła „Zawsze Oni."

„Kałmuk był potomkiem psa, którego w Sybirze, będąc na wygnaniu, szczenięciem wychował P. Łopot. Był to pies ogromnéj wielkości i siły niesłychanéj, do tego zmyślny, do pana przywiązany, odważny, nie dziw więc, że zazdrość wzbudzał nietylko w towarzyszach niewoli swego pana, ale i w mieszkańcach słobody, w któréj P. Łopot mieszkał. Nieraz na polowaniu na niedźwiedzia, kiedy zwierz na dwóch zadnich łapach idąc, zamierzał się już czaszkę zdjąć myśliwemu, co ostatni strzelił, pies podbiegał, chwytał za szarawary rozjuszoną bestyą, zatrzymał w biegu i dawał czas zagrożonemu albo broń nabić i do ucha przyłożywszy rozsadzić mózg niedźwiedziowi, albo też oszczepem ugodzić w piersi. Kilka takich przypadków ustaliło między ludźmi, co byli myśliwymi z potrzeby i ze zamiłowania, reputacyą Kałmuka.

Na jarmarku, który był koło Irkutska, pozjeżdżali się i Tatary z tabunami dzikich koni i Kałmuki z rybą suszoną i nędznemi wyrobami swemi; i karłowate Lapończyki z tranem wielorybim i skórami zwierząt różnych i kupczyli przez dwa blizko tygodnie. Bliżéj zamieszkali wygnańcy Polacy przybyli także na jarmark, żeby się przypatrzeć temu zbiegowisku ludzi różnych nacyj i zamienić skóry ubitych przez nich wilków, niedźwiedzi, soboli, na proch, ołów i konieczne potrzeby życia. W liczbie tych był i nasz Łopot; z pomocą wiernego psa miał on więcéj towaru jak jego towarzysze, wymieniał go część na potrzeby niezbędne, a za resztę chciał sobie nabyć konia dobrego, któryby nosząc go ułatwiał polowanie. Chodził więc po błoniu, na którém jarmark się odbywał i upatrywał konia, aż naraz ujrzał Kałmuka, wywijającego na niedużym ogierku wilczatym. Co dobiegnie do jakiéj kupy skór, to zbiera cugle, pociśnie go łydkami i już na drugiéj stronie.

Było tego kilka razy; jeździec pewny konia nie boi się nadużywać sił jego i znowu dojeżdża w podskokach do stosu skór i nie uważa, że obok jest drugi, a między nimi i tyle miejsca nie było, że koń mógł stanąć; ale Łopot, który patrzał z boku, widzi przeszkodę i myśli sobie: „Zjesz dyabła,

czy tą razą przeskoczysz!“ Aw tem wilczaty sadzi przez pierwszy stos, staje na zadzie, podsadza się i drugi stos już za nim, a Kałmuk zeskakuje z niego i całuje objąwszy za szyję.

Okrzyk podziwienia rozległ się między widzami, Łopot klaskał w ręce i wołał brawo na całe gardło; szedł do Kałmuka i poznał w nim syna kupca, u którego wymieniał skóry swoje, a z którym w dniu wolnym od jarmarku polował na niedźwiedzia i przy nim pies Łopota dał dowód swej odwagi.

Po przywitaniu i pochwale konia spytał Łopot czy nie na sprzedaż; Kałmuk się przysięgał, żeby tak dużego jak sam mieszka karbowańców za niego nie wziął. Łopotowi się markotno zrobiło, bo dyable mu koń wpadł w oko, w myśli widział się już na nim jak dojeżdża postrzelonego niedźwiedzia, jak w śmiałych skokach przesadza zawały, żeby uchwycić moment do strzału; a tu Kałmuk żąda woru jak sam duży karbowańców, a u biednego Łopota, nie wiem czy kilka ich brzęczało; spuścił więc nos na kwintę i duma, a Kałmuk patrzy na psa i odezwie się!

„Dzieńgów nie wezmę ale tak: dajcie psa, ja dam konia,“ i wyciągnął rękę z cuglami do Łopota.

„I tabunu całego nie wezmę za niego!“ odrzekł konfederat i głaskał psa a ten go lizał. „A potem na coby on ci się przydał, anibyś go do domu nie doprowadził, powaliłby cię i uciekł do mnie.“

„Mnie powalić! „mówił barczysty Kałmuk, „ha! ha! ha! żartujecie, mnie powalić... mnie, co konia podniosę — patrzajcie!“ Pogłaskał konia, cugle mu na szyję zarzucił: Nu! Waśka! popróbujem cię. Wlazł pod przednie nogi koniowi, uchwycił go za kolana i podniósł do góry, a tu zbiegają się i Tatary i Kałmuki i kto był na jarmarku i poklaskują sile nadzwyczajnej wołają:

„Maładiec! maładiec!“

„A Łopot głaszcze swego psa, patrzy na niego i myśli sobie:

„I ja to kiedyś robił i talarym łamał, a przecież jak ty niedźwiedzia bym nie dotrzymał.“ A po chwili zawołał: „Spróbujesz sie z Kałmukiem! cóż psisko?“ A ten patrzy na pana, potem na Kałmuka i wstaje i wyciąga się, jakby się do walki gotował.

No cóż, dacie psa za konia? Panie Dworzanin,“ mówił Kałmuk.

„Ot! wiesz co! zróbmy zakład,“ mówił Łopot.

„Charaszo! charaszo!“ wołał uradowany Kałmuk, bo oni lubią zakłady.

„Weź na siebie skórę niedźwiedzią i próbuj się z moim psem! Jeżeli go powalisz, twój pies, a jeżeli on cię zmocuje, to mój koń, i wyciągnął rękę do Kałmuka, a ten uderzył w nią mocno z góry:

„Szczast Boże!“ zawołał.

I zaraz przytomni wzieli konia, wybrano dwóch staryków na sedziów, a Kałmuk pobiegł po skórę niedźwiedzia, a przytomni zrobili koło i niecierpliwie oczekiwali walki zapowiedzianej.

Po chwili wyłazi z za kupy skór Kałmuk, obwinięty dobrze niedźwiedziem, twarz zakryta, ręce wsunięte w skórę i skrada się do psa, który na ten widok stanął, ogon podniósł do góry, warczał i tylnemi łapami wyrzucał ziemię z pod siebie, a kiedy sędziowie dali znak:

„Huź! ha;“ krzyknął Łopot; a pies jak strzała pedzi na przeciwnika i nuże do szarawarów, ale ze zwinniejszym jak zwykle miał niedźwiedziem do czynienia: co mu zabiegnie z tyłu, to Kałmuk już frontem do niego i chce go za uszy uchwycić; pies zrozumiał, że się tak nie skończy walka: rzucił się więc na Kałmuka, ogromne łapy sparł na ramionach jego i chciał go za gardło uchwycić, ale ten bezpieczny był z téj strony, bo miał dobrze owiniętą szyję, a pamiętny zakładu, który był wyraźnie: „kto kogo powali,“ chciał wpół ująć psa, żeby go o ziemię rzucić.

Pies jakby rozumiał o co zakład, ile razy poczuł, że go chwytają ręce przeciwnika, opierał się o piersi jego przedniemi łapami, a tyłem uskakiwał. Już się tak borykają chwilę, kiedy pies raptem rzuca przeciwnika i opuściwszy ogon, jakby chciał figlować, zaczyna w wężyka obiegać w koło Kałmuka.

„Trus! trus!“ wołają przytomni, a Kałmuk na czworakach chodzi i mruczy i drażni psa, a ten w około biega: to się zbliża do Kałmuka, to znów oddala, raptem rzuca się na niego, uderza piersiami, Kałmuk ze trzy kozły przewrócił, a pies już na nim siedzi i dusi za gardło. Przytomni zaczęli wołać „hurra!“ na wiwat zwycięztwa, a Łopot biegł obronić biednego Kałmuka i czas było, bo pies rozwarł łapami skórę na szyi obwiniętą i byłby nieochybnie udusił przeciwnika, ale jak usłyszał głos Pana, odstąpił wolno od powalonego, zbliżył się do Łopota, lizał mu rekę, kiedy go ten całował i układał się pomału, wyciągnąwszy głowę na przednich łapach.



Pies Kałmuk.

Rycina wyjęta z dzieła: „Zawsze Oni.“

Powalony Kałmuk wstał chromając:

„Wasza łoszad, zawołał. Praszczaj Waśka!“ *) i smutno oddalał się, ale Łopot podbiegł do niego i rzekł:

„Słuchajno!“ stanął Kałmuk.

„Tego psa wam dać nie moge, ale mam syna jego, będzie zupełnie taki sam jak ojciec, daruję ci go.“

Wy nie szutitie?“ zawołał zadziwiony Kałmuk.

„Daruje! czesnoje słowo!“

„A Batiuszka mój!“ zawołał Kałmuk, uradowany niespodzianym datkiem i całował rękę Łopota, zaprosił go do siebie i częstował czem miał.

„Wieczorem pojechali do słobody, Łopot już na Waśce, Kałmuk odebrał półrocznego szczeniaka, co już był jak spory pies, a Łopot wróciwszy z wygnania, przyprowadził z sobą i Waśkę i psa, którego na pamiątkę swego pojedynku z Kałmukiem, Kałmukiem nazwał. Po Waśce i klaczach polskich dochował się niesłychanéj tęgości stępaków, a i Kałmuka ród nie zaginął, bo to prawnuk jego ujadał za sadem.“

SERBSKIE ŁUŻYCE

przez

R. Zmorskiego.

(Ciąg dalszy).

W Budyszynie samym, jedna z baszt starożytnych, obecnie w środku miasta położona i na teatr obrócona, była siedliskiem istoty, pod nazwaniem *boże sedleszko* lub *boże sadleszko* zwanéj, któréj przyrody jednak tradycya oznaczyć nie umie. O ile z różnych wskazówek sądzić można, nazwa po-

*) Wasz koń — bądź zdrów Waśka.

wyższa musi być skażeniem powstałém z *bože setliszko, bože stliszko*, to jest żnicz boży. Niegdyś stała zapewne w tém miejscu świątynia jego, z której ogromne odzywały się głosy, głosy zaś te lud słyszeć mniemał do niedawnych jeszcze czasów. Złowrogie zawodzenie i jęki odzywały się przed każdą z klesk miasto dotknąć mających, na zadane zapytania odpowiadając ciemną przyszłego nieszczęścia przepowiednią. Wiara w to była tak powszechną, że niemieccy kronikarze Budyszyna, zapisali odzywania się bożego sedleszka po wiele kroć. Ostatni raz dało się słyszeć przed wielkim pożarem, który w 1634 zniszczył miasto.) W Mużakowie słyszano je 1779, a w Kulowie w 1822 r. przed wielkim pożarem. Wielu mniema, że się jeszcze po dziś dzień na różnych miejscach słyszeć daje.

Podobnegoż rodzaju nieszczęść zwiastunem jest tak zwana *boża-łość* skrócone z boża-złość, to jest gniew boży w postaci białéj niewiasty lub dziecka, zjawiająca się i zawodząca, z pokrewnemi swemi Marą i Śmiertnicą, z których pierwsza przed powszechnym morem, druga na trzy dni przed zgonem czyjmś w domu ukazywać się zwykły.

Murawa, nasza zmora, dręczy ludzi sennych.

W południowych godzinach na polach zjawiają się wyschłe i wysokie, sierpem zbrojne przipołnice, to jest przypołudnice, zadając spotkanym pytania, na które jeźli dostatecznych nie odbiorą odpowiedzi, karzą śmiercią lub chorobą. W lasach uganiają się za zwierzyną cudne dziwice, o południu i człowiekowi straszne, gdyż go rażą strzałami swojemi. Zamieszkująca w górach zła żona, okropna poczwara, na szkodę ludzką czychająca, odmienia na teraz zostawione bez pieczy do sześciu tygodni po narodzeniu dzieci. Dla odzyskania swego, trzeba natenczas podrzucone, czyli tak zwanego przemteńka bić bez litości na śmiecisku.

Kubołczik, nasze półdjable, w postaci jakiego stworzenia przyczepia się do domostwa, częścią przysługując się, częścią płatając ludziom figle, w miarę doznawanego od nich obchodzenia. Tejże saméj natury istotą jest tak zwany żmij lub plon (dosłownie znaczy tyle co nasz smok), w ognistéj kuli przebiegający powietrze i swoim ulubieńcom wszelkie dostatki znoszący.

W rzekach i jeziorach mieszkają wodniki, z żonami i dziećmi swemi. Czasami opuszczają swoje siedziby i obcują z ludźmi; córki ich osobliwie zachodzą na muzykę i taniec do wsi nadbrzeżnych i nieraz w przystojnych kochają się chłopakach.

Wiatry występują uosobione jako wietrec hólcy, to jest synowie wiatru. Ogniki nocne, *błudnikami* i *błudniczkami* zwane, są to złośliwe chochliki, starające się obłąkać podróżnych.

Nasze olbrzymy znane są tu pod *Hobrów*, liliputy (?) pod palcików i ludków nazwą. W dolnych Łużycach ukazują liczne ludkowe góry, gdzie dobre te istoty mieszkały, póki ich odgłos dzwonów nie wypłoszył.

Czarownik zwie się *Kuzlar, Guslowar*, Khodotnik, czarownica kuzłarnica, lub Khodajta. Wróżki, *wieszczerki*, przepowiadają przyszłość i zażegnują choroby.

W wilię nowego roku odprawiają się wróżby; w noc świętojańską zakwita paproć cudowna. Nów miesiąca, ukazujący się niespodzianie człowiekowi po lewéj jego stronie, zwiastuje nieszczęście, po prawéj szczęście. Skrzeczenie sroki gości, krzyk zaś pućki, wycie psów, lub pianie kokoszy, śmierć i nieszczęścia zapowiadają.

Niemiecki rycerz Dietrich Bernhard, u Serbów Dyterbernat zwany, przeciąga z mglistym orszakiem psów i jeźdźców, wśród burzliwych nocy, łużyckie lasy, jako strzelec dziki. Szczegółowych zresztą podań i baśni, często z napotykanemi u nas wiele podobieństwa okazujących, niezmierna obiega ilość. Dotąd jednakże mała ich bardzo cząstka, w różnych rozdrobniona publikacyach, spisaną została.

Pieśni serbskich, zebranych przez Smolerja, a przetłómaczonych na niemieckie przez Haupta, wyszedł obszerny zbiór w dwóch tomach, pod tytułem: „Pjesnicki hornych a dolnych Łužiskich Serbów."

Dzieło to, poprzedzone przez Smolera wybornem ustępem, w końcu jest wzbogacone zbiorem serbskich przysłów, kilkunastu baśni i przypowiastek, filologicznemi uwagami nad obu narzeczami łużyckiemi, nadewszystko zaś obszernym i wielce dokładnym poglądem na zwyczaje, przesądy i t. p. tego ludu.

Same pieśni, których się w obu tomach pięćset z górą mieści numerów, podzielił zbieracz, jak je sam lud dzieli, na siedm następnych rodzajów:

Pszepola to jest pieśni, które się w polu, bądź przy paszeniu bydła, bądź też na drodze do pracy, lub do karczmy śpiewają. Po największéj części są dość obszerne, opowiadającéj lub lirycznéj treści, i odpowiadają naszym dumom.

Rónczka, to jest zwrotki, śpiewane między tańcem a tańcem, jak nasze krakowiaki przed muzyką.

Reje po których się wiedzie taniec tegoż nazwiska.

Wwienińja, przeznaczone do śpiewania w koléj przy zebraniach wieczornych, a tak ułożone, że do każdéj da się wstawić imie jednéj z osób towarzystwa.

Kwasne to jest weselne śpiewy.

Stonańja, to jest westchnienia, właściwie piosnki proszebne, któremi śpiewający przymawiają się o dary, jak u nas w czasie kolęd, w szczodry wieczór, lub przy obnoszeniu gaika.

Podkhyrluszje, pobożnéj treści pieśni i legendy, bądź z pisma, bądź z tradycyi ludowych stworzone.

Melodye tych pieśni — jak słusznie mówi Smoler — śmiało obok najpiękniejszych u innych ludów postawionemi być zasługują. Niektóre pomiędzy niemi, podobieństwem z niemieckiemi okazują świeższy swój początek; największa przecież ilość nosi czysto-słowiański, a częstokroć bardzo wysokiéj starożytności, charakter. Najbliższe pokrewieństwo okazują z melodyami ruskich pieśni, i z wyjątkiem jedynie tanecznych, śpiewać się zwykły, podobnież jak tamte, przeciągłym, rzewnym, na spadkach drżącym głosem.

Wykrzyknik héj! héj! którym lud polski i ruski lubi swe pieśni zaczynać lub w środku, gdzie zbywa miary, wiersz dopełniać, zastępuje u Łużyczan Ha i Hale. Czasami dwie te głoski, stósowną liczbę razy powtórzane, tworzą przyśpiew na początku każdéj zwrotki lub pomiędzy jéj wierszami. Hale-le-le-le-le! ha-le-le-le-le-le! to jest zupełnie tak samo brzmiący jak zaczęcie owéj pogrzebnéj starych Prusaków, w kronikach zachowanéj pieśni.

Pomiędzy treścią łużyckich a naszego ludu pieśni niezmiernie wiele znajdujemy podobieństwa. Mnóstwo zwrotów, wyrażeń i porównań wspólnych świadczą o bliskiém plemion tych braterstwie. Całych jednakże pieśni w obu językach się powtarzających znaleźć trudno, lecz za to niezliczona ilość zwrotek widocznie z jednego do drugiego przejść musiała.

W kilku piosnkach spotykamy się z nazwaniem polskiego króla; wzmianki te wszakże szacowne jako powód niezgasłego wspomnienia, które tu wielki Bolesław zostawił, nie mają żadnego historycznego charakteru. Jedna za to pieśń, w któréj bez wymienienia nazwy polskiego, jest mowa tylko o królu nagradzającym Serbów, za pobicie Niemców szkarłatnemi szatami, piękną bronią i końmi dzielnemi, niewątpliwie do naszego odnosi się Bolesława i dla tego na przywiedzenie zasługuje. Oto ona w oryginalnym tekście:

Serbów dobyća.

Serbjo so do Niemców hotowachu,
Słowczka pak niemski nie možachu.
Swoje sej koniki sedowachu,
Swoje sej wotrohi przipinachu
Swoje sej mecziki psipasachu,
Do runoh pola so zježdžowachu.
Prieni króć na wojnu cienichu,
Wulkie tam dobyćje sczynihu.
Dyž bie to zhonił tón kral a wreh,
Dał je wón wszitkich ich przed so przińć
Dał je won wszitkim im nowu drastu,
Dał je wón wszitkich ich do wojników.
Druhi króć na wojnu cienichu,
Wulkie tam dobyćje sczynichu.

Dyż bie to zhonił tón kral a wreh,
Dał je wón wszitkich ich przed so pszinć,
Dał je ich wszitkich wón zwobliekać
Do lutoh czerwienoh czorlaćha.
Trzeci króć na wojnu cienihu,
Wulkie tam dobyćje szczynichu
Dyż bie to zhonił, tón kral a wreh,
Dał je wón wszitkich ich przed so pszinć.
Dał je wón kojždemu ryzy konia,
Hiszcie tón świetły mecz zejrawaniu.

Co znaczy po polsku:

Serbów korzyści.

Serby na Niemców w bój ciągnęli
Choć po niemiecku nie umieli.
Koniki swoje posiodłali,
Ostrogi sobie przypinali.
Ostre swe miecze przywiesili,
W szerokie pole wyruszyli.
Pierwszy kroć z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń dobyli.
Gdy się król-książę o tém dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.
Wszystkim darował nowe stroje,
Wszystkich policzył za swe woje.
Drugi kroć z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń zdobyli.
Gdy się król-książe o tém dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.
Każdemu nowa dana szata,
Z jasnego jako krew szkarłata.
Trzeci raz z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń dobyli.
Gdy się król-książę o tém dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.
Jako przybyli wszyscy zaś doń,
Bułany dostał się każdemu koń.
Bułany dostał się każdemu koń,
I jeszcze jasna do boku broń.

Nie od rzeczy tu będzie nadmienić, że przydomek Chrobry nie koniecznie zawdzięczał nasz Bolesław Rusi, lecz że go równie dobrze mógł otrzymać od Serbów, pośród swych zwycięztw nad Niemcami; dotąd bowiem wyrażenia: khrobłość, khrobły, khroblije zachowały się w mowie potocznéj Łużyczan.

(Dokończenie nastąpi).

Zbiór niektórych przysłów, używanych w Wielkopolsce.

I. Przysłowia, zawierające zabytki z czasów starosłowiańskich.

Idzie, jak Lelum Polelum.
Stoi, niby Lelum Polelum na górze.
Lelum Polelum — Świstum Poświstum.

Przysłowia te, a raczéj porównania przysłowiowe są jeszcze dość często od ludu wiejskiego w Wielkopolsce używane. O człowieku powolnym, ślamazarnym, niedołężnym mówi się: Robi lub idzie, jak Lelum Polelum. Stoi, niby Lelum Polelum na górze, używa się o ludziach nieruchomie stojących. Mogłoby to służyć za wskazówkę, że posągi bożyszcza Lelum Polelum były stawiane na pagórkach. Lelum Polelum — Świstum poświstum, znaczy tyle co mixtum compositum, lub nic do rzeczy.

Leci jak Pochwist.

Mniéj używane, aniżeli poprzednie o Lelum Polelum. Używa się zwykle na oznaczenie szybkiego biegu, ale mówi się także o ludziach lekkich, niestałych, wietrznych. Zapewne więc jestto pamiątka po bóżku wiatrów Pochwiście.

Stoi jak bożek.

Znaczy tyle co: stoi, jak posąg. Dotąd opowiada lud o świątyniach pogańskich w Kruświcy, Gnieźnie, Kotłowie i innych miéjscach. We wsi Kotłowie, w powiecie Ostrzeszowskim, w W. X. Poznańskiem, znajdują się po dziś dzień dwa kamienie, prawdopodobnie z pogańskich pochodzące czasów, pokryte płaskorzeźbą. Na jednym z tych kamieni widoczne podobieństwo człowieka, a na drugim jakiegoś zwierzęcia. Życzyćby wypadało, aby zdjęto rysunki tych zabytków. W Kruświcy na kościele znajduje się znak, składający się z przecinających się nieregularnie kwadratów, które stanowią niejakie podobieństwo do krzyża. Dlatego może zwie lud ten znak: krzyżem pogańskim, a może i dlatego, że znak ten u dawnych naszych przodków mógł mieć takie znaczenie, jak krzyż w chrześciańskie.

Idzie — siedzi — wygląda jak ćmuk.

Wyrażenia te można słyszeć w całéj Wielkopolsce, jednakże najwięcéj w okolicach Gniezna. Używa się na oznaczenie ludzi zasępionych, ponurych, gniewliwych, mianowicie zapłakane, niegrzeczne dzieci dostają nazwę ćmuków. Na zapytanie: co to jest ćmuk? odpowiedziano mi, że to jest zwierzę, dziś już nie istniejące. Być więc łatwo może, że ćmuk w dawnych, starosłowiańskich czasach oznaczał jakie bóstwo, czczone w postaci zwierzęcia. Może z tem jest spokrewniony wyraz: ćma, a nawet zapewniał mnie jeden z mych przyjaciół, że to jest odpowiednia ćmukowi istota niewieścia, niejako żona ćmuka. Nie można zaprzeczyć pewnego podobieństwa, bo jak ćmuk oznacza ludzi ponurych, smutnych, tak ćma znaczy po dziś dzień ciemność nocną, i rodzaj motyli, po nocach latających. W niektórych okolicach mówią także: ćmok, coby wskazywało na pewne pokrewieństwo z wyrazem: smok.

Chudy, jak wił.
Wygląda, jak wił z pod belki.
Wyszczerza zęby, jak Wił.

Tu owdzie w Wielkopolsce istnieją podania o Wiłach. Mają to być podług wyobrażenia ludu istoty bardzo cienkie, chude, tak że się mogą przez najmniejszą szparę belki przecisnąć; zęby zaś mają nadzwyczaj długie, ztąd mówi się: Wyszczerza zęby, jak Wił. Siadają zwykle pod belką, ztąd powstało: Wygląda, jak Wił z pod belki (czyli balki, jak mówi lud wielkopolski). Wiły zostają w jakimś związku z czarownicami. Straszą małe dzieci, nie dozwalając im spać spokojnie. Gdy w nocy dzieci nie chcą spać i płaczą ustawicznie, wówczas utrzymują matki, że to Wiły im przeszkadzają. O człowieku bladym, cienkim, chudym, chorowitym, mówi lud: Chudy, jak Wił. Podług K. Wójcickiego wystawia sobie lud Wiła, jako głowę z żółtemi włosami, osadzoną na pile, która spać nie dozwala. Jest więc w tem podobieństwo, że Wiły podług wyobrażeń ludu wielkopolskiego i z innych okolic przeszkadzają ludziom śpiącym, bo takich Wiłów z żółtemi włosami lud w Wielkopolsce nie zna, a przynajmniéj nigdy o tem nie słyszałem.

Wygląda — lezie, jak smok.

Jeżeli kto idzie powoli, a jest rozmamrany, zaszargany, to mówią o nim: Lezie lub wygląda, jak smok. Najczęściéj jednakże używa lud wyrażenia: Ty smoczy łbie! — na oznaczenie, że ktoś jest złym, niegodziwym, mściwym, zażartym człowiekiem.

Leci — wygląda, jak skrzat.

Jak wiemy, istniały u Słowian złe i dobre bóstwa. Z zaprowadzeniem chrześciaństwa duch zły, znany pod nazwą szatana lub djabła otrzymał nazwę bóstw złośliwych, a mianowicie biesa, czarta i skrzata, które są niewątpliwie zaby-

tkami czasów pogańskich. Bies i czart oznacza djabła, zaś skrzat, skrzatek djabła niższego rzędu, bo zamiast: skrzat mówią też wieśniacy: półdjable. Wyraz: skrzat bardzo często można u ludu w Wielkopolsce słyszeć np. Do skrzata, Bodaj to skrzaci wzięli i t. d. Skrzat czyli skrzatek ukazuje się, jak lud twierdzi, pod postacią małego ptaszka lub kurczęcia — a powstaje następującym sposobem. Jakieś dziwnego kształtu i przymiotów jaje nosi czarownica pewien przeciąg czasu pod pachą. Wylęgłe ztąd kurczę jest skrzatkiem, który kusi ludzi, znosi im pieniądze, zboże, masło, a w końcu zabiera duszę człowieka, który takie dary od niego przyjmuje. Pewien kmiotek, wyszedłszy raz w pole, znalazł kurczę zmokłe i drżące od zimna. Zdjęty litością zabrał je do domu i posadził na piec, aby się ogrzało. Kurczę po krótkim czasie zaczęło znosić różne zboża. Zmiarkował wieśniak, co się to święci, spostrzegłszy owe nanoszone kupki ziarna i co to za kurczę. Nic nie mówiąc, schwycił tego nieczystego ptaszka i tego wygrzmocił i korkiem go podeptał, a potem wyrzucił za drzwi. Owo kurczę czyli skrzatek nie mógł w pierwszéj chwili po téj gorącéj łaźni przyjść do siebie, bo dopiero o trzy staja coś zarzegotało: cha, cha, cha! — a kupki zboża zniknęły. Dlatego, że skrzatek jako zbiedzone, zmokłe, głodne kurczę się pokazuje, powstało też wyrażenie: Wygląda, jak skrzat, używane o ludziach obszarpanych, zbiedzonych, a którym źle z oczu patrzy. Może też ztąd wzięło początek wyrażenie: Wiem ja, co to za ptaszek, na oznaczenie złego, przewrotnego człowieka, który udaje, że jest dobrym, niewinnym. Lud opowiada, że skrzatek lata najczęściéj wieczorem, znosząc przedmioty dla tych ludzi, którzy przyjmują jego usługi. Jeszcze po dziś dzień widują wieśniacy wielkopolscy nieraz wieczorem małe ptaszki, szybko pędzące, a na okół nich sypią się iskry — są to skrzatki. Ztąd też, gdy coś szybko bieży, mówi się: Leci jak skrzat.

Mały, jak kraśnyludek.
Wygląda, jak kraśnyludek w czerwonéj czapeczce.

Kraśnyludek (krasnoludek) oznacza podług wyobrażeń ludowych maleńką istotę ludzką, ztąd powstało przysłowie: Mały, jak kraśnyludek, a że w czerwonych mają chodzić czapeczkach, więc bywa powtarzane i to drugie wyrażenie. Wiara w krasnoludki jest nietylko polskiemu i w ogóle słowiańskiemu narodowi, ale nieomal wszystkim innym ludom spólną. Mają to być bardzo uczynne istoty, więc nieraz dopomagali ludziom w robocie, niejednéj kobiecie masło zrobili i t. p. czynili przysługi. Pewna kobieta piekła chleb, a kiedy wyszła na dwór to widziała oknem, jak się kraśnoludki koło chleba zwijały, ale kiedy weszła do izby, to uciekły. Zaś do pewnego owczarza, pasącego owce w polu, przyszedł kraśnyludek i prosił go o jagnię. Owczarz dał mu takowe, za to więc prosił go kraśnyludek na wesele. Nie chciał on iść, bojąc się o owce, by się nie rozbiegały, lecz kraśnyludek upewnił go, że będą spokojne. Owczarz poszedł i doskonale się zabawił. Kraśnoludki nigdy ludziom nie szkodziły, a nie mają nic spólnego ze złemi duchami. Są jeszcze starzy ludzie, którzy je widzieli, ale już od pewnego czasu krasnoludków nie widać. Był to może w pogańskich czasach jakiś rodzaj duchów opiekuńczych.

Wygląda, niby Wielkolud.

O wielkoludach słyszałem od ludu w Wielkopolsce, co następuje. Za bardzo dawnych czasów, zanim jeszcze nasze pokolenie nastało, żyły na świecie wielkoludy, albo wieloludy jak ich téż nazywają. Byli to ogromni olbrzymowie, tacy wieldzy,*) że na kije do podpierania brali najtęższe sosny w lesie. I długo jeno oni sami tu na ziemi mieszkali, ale przyszedł czas, że i ich panowanie miało się skończyć, a nasze pokolenie miało nastać. I jakoż też w rzeczy samej przyszło do tego. I mieszkał sobie jeden taki wielkolud na wielkim zamku, a właśnie koło tego zamku orał razu pewnego chłop wołami w polu. I orze sobie i pogwizduje ów chłop, aż tu przychodzi z zamku córka tego wielkoluda, a ujrzawszy oracza wzięła go z wołami w fartuszek, ciesząc się, że znalazła takie ładne robaszki. Jednakże ojciec kazał jéj co tchu chłopa i woły odnieść w to samo miejsce, zkąd je wzięła, mówiąc: „Tacy po nas ludzie nastaną.“ Inni znowu mówią, iż powiedział: „Gdyby nie te małe robaszki, tobyśmy z głodu poumierali.“ Zaczęło się też coraz więcéj mnożyć takich jak my ludzi, a wielkoludów było coraz mniéj. Nakoniec pozostało ich już tylko czterdziestu, a widząc, że z niemi krucho, więc zamknęli się w okrutnie wielkim zamku ku wschodowi, a tak się doskonale bronili, że choć ich jeno było czterdziestu, to im wszystkie wojska, co ten zamek oblegały, nic nie mogły zrobić. Mury były bardzo wysokie i ani myśleć, żeby je można przejść, a co się wojsko pod mury zbliżyło, to wielkoludy zaczęli rzucać klockami, przez co bardzo wiele zabijali żołnierzy. Król tedy, co dowodził temi wojskami, widząc że bardzo ciężko zwyciężyć wielkoludów, ogłosił, że ten, co ich pobije, dostanie jego córkę za żonę i będzie królem po jego śmierci. Ale nikt nie chciał i też nie mógł się na to odważyć. I nie trzeba, że właśnie pod owe czasy szedł sobie drogą ubogi chłopak sierota, aż tu widzi list na drodze, a w tym liście było napisane, że ktoby go nosił przy sobie na piersiach, to taki byłby mocny, że każdego, by też najmocniejszego człowieka mógłby uśmiercić, a nic mu się nie stanie, i nikt go nie zabije, dopóki ten list będzie miał przy sobie. Poszedł tedy ów chłopak z tym listem do królewskiego obozu, a dowiedziawszy się o co rzecz chodzi, powiedział, że on tych wielkoludów uskromni. Jakoż poszedł zaraz do onego zamku, a co mu który wielkolud drogę zastąpił, to go jeno pacnął ręką, a wielkolud bęc o ziemię. I takim sposobem zabił wszystkich ostatnich wielkoludów, a ów zamek został zdobyty. Ale chłopak zgubił ten list, czy też mu ktoś porwał, to też niedługo potem zginał w bitwie od pierwszego cięcia.

Takie jest podanie ludu o wielkoludach. Owo zdanie wielkoluda, że gdyby nie te robaszki, tobyśmy z głodu pomarli mogłoby się odnosić do szlachty i poddanych. Kości zwierząt przedpotopowych, nieraz w kruchtach zawieszone, mają być podług twierdzenia wieśniaków, szczątkami po wielkoludach. Po dziś nieraz po wsiach wielkopolskich o wielkim człowieku mówią: Chłop, jak wiekolud, albo: wygląda jak wielkolud.

*) Lud wielkopolski zmienia często w wymawianiu g na k, a k na g. np. zam. wielki, mówi wielgi, zamiast gruszka, kruszka.

Zły, jak jędzona, wygląda, jak jędzona.

W powieściach ludowych nieraz zachodzą jędzony. Są to jakieś złośliwe, żeńskie istoty, ale nie są ludzkiego pochodzenia, jak czarownice i cioty. Najczęściéj przebywały nad wodami, a nieraz wypiły wodę jeziora, jeźli im to było potrzebnem. Kłótliwe, złośliwe kobiety są zwane jędzonami. Mówią też jędzyna.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

„*Lech*“ wychodzi co tydzień w sobotę. Przedpłatę ćwierćroczną w ilości 2 marek przyjmują wszystkie poczty krajowe. Każda poczta obowiązana jest za 2 marki wszystkie dawniejsze nr. Lecha, a za 4 marki za całe półrocze do 1 Lipca br. sprowadzić. Można też zapisywać wprost w redakcyi za cenę 2 m. ćwierćrocznie, 4 m. półrocznie, 8 m. rocznie, za co się franko posyła wraz z premią. Przedpłata roczna dla Austryi 5 zlr. Dawniejsze numera są w zapasie.

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu. — Czcionkami H. Schmaedicke w Poznaniu.